Nr. 20 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 października 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

TREŚĆ NUMERU 20:

Nr. 20 We Lwowie, 16 października 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Sprawozdanie

z obrad Walnego Zgromadzenia Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, odbytego w dniu 3-go września 1930, w sali posiedzeń Towarzystwa Gospodarczego przy ul. Kopernika l. 20

O godzinie 10^{30} otworzył Prezes Juljusz hr. Bielski obrady Walnego Zgromadzenia, witając na wstępie w osobie Pana Stefana Gnatowskiego, Naczelnika Wydziału Województwa, zastępcę Pana Wojewody lwowskiego i wyrażając zarazem w Jego ręce podziękowanie Panu Wojewodzie, że przez wysłanie Swego reprezentanta zaznaczył dobitnie, iż się sprawami łowiectwa interesuje. — Dalej powitał mówca Pana Czesława Lisowskiego, jako reprezentanta Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i Pana Dr. Kuntzego, jako reprezentanta Rady ochrony przyrody, tudzież wszystkich w obradach udział biorących.

Prezes wyraził żal, że wśród obecnych jest bardzo mało młodzieży; tę widać tylko na polowaniach, a w obradach bierze udział właściwie Wydział tylko i kilkunastu najwierniejszych członków Towarzystwa.

Dalej poświęcił Prezes pośmiertną wzmiankę zmarłym w ciągu roku członkom Towarzystwa, podnosząc, że byli oni wzorem gorliwego spełniania obowiązków obywateli i łowców. Oto ich nazwiska: Józef Bartmański, Aleksy Biliński, Adam Chlebowicz, Jan Gorayski, Włodzimierz Hiolski, Zbigniew Horodyński, Ksawery Jaruzelski, Edward Münter, Zygmunt Zawadzki i Dr. Zygmunt Zieliński.

Pamięć Zmarłych uczcili obecni przez powstanie.

W dalszym ciągu przemówienia, przeszedł mówca wszystkie ważniejsze sprawy omówione w sprawozdaniu pisemnem, uzupełniając je Swemi wyjaśnieniami i uwagami, a jako „novum" podniósł, że powstała placówka chowu bażantów i zajęcy w Łukawicy. Jeśli Panowie założyciele, młodzi łowcy, Eustachy i Tadeusz Barańscy, potrafili odrazu urządzić 150 woljer dla bażantów, to należy wyrazić im jak najdalej idące uznanie. — Hodowla zwierzyny jest dziś przez samego Pana Ministra Rolnictwa otaczana opieką i Minister ten na audjencji, którą mówca miał u niego, nalegał bardzo, byśmy się starali iść w kierunku hodowli zwierzyny, celem podniesienia dochodowości łowiectwa i dania odpowiedzi w ten sposób tym, którzy mianują łowiectwo tylko zabawką.

Przemówienie swe zakończył Prezes następującemi słowy:

Zwykłem w moich przemówieniach przy otwarciu zjazdów poświęcać kilka słów łowieckim sprawom najbardziej aktualnym. — Uważam, że należałoby dążyć do zmiany czasu ochronnego dla pewnych gatunków zwierzyny. — Uważam, że dzień 1 września, jako termin otwarcia polowania na przepiórki jest niestosowny, bo wszak przepiórki 1 września już się gromadzą i od-

latują. — Drugą sprawą, która zaprzątała myśli i serca nasze, była sprawa polemiki, która się wywiązała na łamach „Łowca", w sprawie ochrony jeleni. A ponieważ wśród zgromadzonych widzę wielu moich przyjaciół i towarzyszy broni, którzy osobiście do mnie w tej sprawie apelowali, więc wolałem nie poruszać jej na łamach „Łowca", bo jestem przeciwnikiem zadaleko idącej polemiki pisemnej, która często wyradza się w osobistą. Dlatego wybrałem chwilę Walnego Zjazdu, by w tym kierunku wyrazić me zdanie, nie narzucając go zresztą nikomu, bo zasadą moją jest, uszanować zdanie innych. Uważam, że zadaleko idące zmiany czasu ochronnego jeleni i dążności do zabronienia polowania na jelenie na rykowisku, są niebezpieczne i szkodliwe. Jestem zdania, że ten skarb, który posiadamy w Karpatach, musimy uszanować. Ale wszak gdybyśmy tym, którzy ratowali stan jeleni w Karpatach, gdzie stan ten był zupełnie na wygaśnięciu i był skazany na zagładę, powiedzieli, że nie będą mieli możności polowania na rykowisku (odnoszę to do Artura i Andrzeja Potockich), to czy można przypuszczać, że byliby tyle trudu na to łożyli, by stan jeleni w Karpatach podnieść! — I jestem zdania, że jeżeli na rykowisku padnie jeleń kapitalny, to jeśli ten jeleń nawet został ukrócony w swoich zadaniach rozrodczych w tym roku, to jeleń ten jako rozpłodnik w latach poprzednich nie żył w czystości, on swoje obowiązki rozpłodnika już spełnił. Rykowisko jest też ponętnem dla kłusowników, którzy polują, aby mieć jelenia na mięso, a przeto nieobecność gospodarza kniei jeleniej w tym czasie w górach odbiłaby się właśnie fatalnie na jeleniach, gdyż pozostawianoby w ten sposób wolne pole działania kłusownikom.

Szczęściem najwyższem jest dołączyć bezcenne trofeum do swych zbiorów, a rykowisko darzy myśliwych możnością takiego królewskiego spotkania.

Powiadam, że zdania mego nikomu nie narzucam, ale mówię, co myślę. Każdego roku jestem w Karpatach jakich dwa tygodnie, które uważam nietylko za wytchnienie, ale i za nagrodę za to, co łowiectwu oddaję.

Od Pana Wojewody krakowskiego mamy list, w którym usprawiedliwia się, że nie może osobiście przybyć, ale zasyła życzenia owocnej pracy i najlepszych wyników obradom naszym.

Następnie Naczelnik Wydziału Województwa Pan Stefan Gnatowski przemówił następująco: Spotkał mnie dziś zaszczyt reprezentowania i wzięcia udziału w obradach Panów w imieniu P. Wojewody lwowskiego, który nie mógł osobiście przybyć. — Pan Wojewoda polecił mi złożyć Panom życzenia jak najlepszych rezultatów dzisiejszych obrad. — Niech wolno mi będzie wyrazić to głębokie przekonanie, że łowiectwo małopolskie dzięki Panom, będzie rozwijało się na korzyść prawdziwych łowców i naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Reprezentant Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich Pan Czesław Lisowski, podniósł że czuje się szczęśliwym, iż spadł na niego zaszczyt reprezentowania Centrali w gronie łowców, którzy w łowiectwie dominują swemi uczuciami i w te słowa dalej mówił:

Nie są to puste słowa. Mamy wszyscy zwrócone myśli i oczy na to, co Panowie robią tu w Małopolsce, bo to jest nasza faktyczna łowiecka macierz. To są dowiedzione rzeczy, to są fakty. Szczodrość Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego objawiła się w stosunku do łowiectwa całej Polski, szczególnie tem, że mu Panowie dali to co mają najlepszego — swego Prezesa. Poznaliśmy Go w dość ciężkich chwilach, a dzięki Jego dziwnemu spokojowi, dzięki Jego dziwnej umiejętności ujęcia zagadnień, z wielkiej burzy ugruntował się sympatyczny stosunek obu stron, które były przygotowane raczej na walkę. To jest wielki dar, umieć jednoczyć ludzi i stosunki. Oby Prezes z tym Swym spokojem zechciał prowadzić najdłużej nas wszystkich w kierunku, w jakim iść powinniśmy. — (Huczne oklaski).

Na przemówienie Pana Lisowskiego odpowiedział Prezes:

Ze wzruszeniem dziękuję za tak daleko idące słowa uznania dla mojej nikłej pracy, za to, że najlepsze moje chęci stawiam do dyspozycji łowiectwa. Rozwój jego leży mi zawsze na sercu. Idealne pojmowanie tej pracy było mi przewodnią gwiazdą. Słowa Pana Lisowskiego są dla mnie zachętą i pobudką, abym i nadal siły moje Panom do dyspozycji oddał.

Na wniosek pułkownika Alfreda Knappa, zebrani zwolnili sekretarza od odczytania protokołu z ostatniego Walnego Zgromadzenia, ileże protokół ten jest wszystkim znany, jako drukowany w „Łowcu".

Przy punkcie sprawozdania z czynności Wydziału, wiceprezes A. Sander zaznaczył, że do sprawozdania w numerze 15-tym „Łowca" zamieszczonego i uzupełnionego przemówieniem Prezesa Towarzystwa nie wiele może dodać i ograniczy się tylko do spraw, które się wyłoniły w ostatnich tygodniach lub takich, które jednak wymagają pewnego uzupełnienia. — Następnie zaznaczył, że tak Prezes Towarzystwa jak i Reprezentant Centrali, wspomnieli w swych przemówieniach, iż była chwila pewnych tarć między Związkiem Stowarzyszeń Łowieckich, a M. T. Ł. i że zgodnie podnieśli, że sprawa ta dziś już do historji należy. Na szczęście także do historji należą tarcia jakie powstały przed dwoma i trzema laty w samem łonie M. T. Ł., na tle dążeń myśliwych ze zachodniej Małopolski do gospodarowania u siebie więcej samoistnie.

Dzięki jednak dobrej woli obu stron, a szczególnie dzięki spokojowi Pana Prezesa Towarzystwa, sprawa ta już przed półtora rokiem została korzystnie dla obu stron załatwioną, a stosunek stworzonego krakowskiego Oddziału M. T. Ł. do Macierzy Towarzystwa ułożył się jak najlepiej i jak najlojalniej. Dowodem tego jest pismo Prezesa Oddziału Krakowskiego Generała Józefa Stillera, przesłane z racji dzisiejszych obrad, które to pismo brzmi: „W numerze „Łowca" z dnia 1/VIII b. r. w dorocznem sprawozdaniu M. T. Ł. raczyła Centrala zamieścić przychylną wzmiankę o usiłowaniach Oddziału

krakowskiego. Dziękując za to miłe nam i zaszczytne dla nas uznanie, żywimy pragnienie, ażeby jak dotąd tak i nadal agendy łowieckie na obszarze Województwa, otoczyć możliwą opieką i dbałością. — Również pragnieniem mojem byłoby wziąć udział w tegorocznym Zjeździe łowieckim M. T. Ł. Niestety głównie podeszły już wiek i ogólna niedyspozycja w mem zdrowiu, nie pozwalają na przybycie do Lwowa. Jakkolwiek zatem nieobecny, łączę się jednak myślą i uczuciami z Zarządem i całym Szanownym Zjazdem, prosząc zarazem o uwzględnienie mej nieobecności. Cześć św. Hubertowi! Gen. J. Stiller, Prezes".

Jest to rzecz bardzo pocieszająca, że na terenie Małopolski niema już żadnego rozdwojenia i że wyrabia się szczery stosunek między Oddziałem krakowskim, a Macierzą.

Drugą ważną sprawą, może nie nową, lecz w ostatnich tygodniach dobitnie, bo cyframi ujawnioną, jest sprawa wielkich zaległości członków Towarzystwa w płaceniu składek. Gdyśmy poprosili Pana księgowego o zdanie sprawy ze stanu wpływu składek, okazało się, że zaległości są ogromne. Chodzi już o kilkanaście tysięcy złotych, których niema w kasie, a które być powinne. Wydajemy „Łowca", którego wydawać musimy dwa razy w miesiącu, a na pokrycie tego wielkiego wydatku mamy tylko pretensje do członków. Więc zgóry musimy powiedzieć, że syndyk nasz bardzo energicznie musi się zabrać do rzeczy. Nie występujemy jeszcze z wnioskiem o podwyższenie wkładek. Będziemy starali się zaległości ściągnąć i przetrwać do następnego Walnego Zgromadzenia, a wtedy się wyjaśni, czy nie trzeba będzie znowu prosić o podwyższenie wkładek.

Jeszcze jedną sprawę należy poruszyć. Chodzi o budowę Domu łowieckiego w Warszawie, domu, w którymby Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich znalazł siedzibę. Robi wrażenie, że ta sprawa nie została na Walnem Zgromadzeniu Polskiego Związku uchwaloną całkiem formalnie. Według tego co czytamy w sprawozdaniu z ostatniego Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Walne Zgromadzenie zaakceptowało tylko myśl p. Knothego, zbierania pieniędzy na budowę domu, samej budowy jeszcze nie uchwalając. Nie wiemy czy dobrze się stało, możliwe, że gdyby sprawa była dokładnie wentylowana, byłaby ona natrafiła na pewien opór sfer łowieckich. Dziś, aby wybudować dom w Warszawie, trzebaby na ten cel zebrać pół do jednego miljona złotych. Może nie od tego należało zaczynać. Są może potrzeby łowiectwa pilniejsze a duże kwoty, z natury rzeczy od świata łowieckiego na ten cel żądane mogłyby być może korzystniej użyte. Bądź co bądź Związek trwa dopiero lat ośm i jest w gościnie Polskiego Tow. Łow. w Warszawie, inicjatora i założyciela Związku.

Ale skoro zapadła taka uchwała, czy też to skoro zaaprobowano w myśl p. Knothego, to karność myśliwska wymaga, abyśmy już tej sprawy nie krytykowali i skoro raz tak postanowiono, to będziemy tę sprawę popierać, a otrzymawszy z Centrali 12 kwitarjuszów w celu opodatkowania się myśliwych za ubitą zwierzynę, zwrócimy się do tych panów, którzy częściej na polowaniach bywają, względnie do naszych Towarzystw myśliwskich z apelem wydatnej zbiórki. Zapewne Reprezentant Polskiego Związku zechce jeszcze w tej sprawie głos zabrać.

Delegat Stanisław Korwin Milewski skonstatował, że klęska, która w roku 1928/29, nawiedziła zwierzostan została już wyrównana. Zwierzyna znowu się rozmnaża. Przypisać to należy w znacznej mierze wstrzemięźliwości myśliwych. Jest to zasługa Wydziału i redaktora „Łowca", bo po pojawieniu się w „Łowcu" odpowiedniego apelu, wielu prawdziwych myśliwych przestało urządzać polowania.

Postawioną przez mówcę rezolucję, iż Walne Zgromadzenie wyraża podziękowanie Prezesowi Towarzystwa za ratowanie zwierzyny w ciężkim dla niej okresie, zgromadzenie przyjęło, wyrażając się za nią gorącemi oklaskami. — Mówca podniósł wreszcie, że w przyszłej ustawie należałoby zwierzynę wziąć we większą jeszcze ochronę. — Szczególną ochronę należałoby roztoczyć nad stanem sarn, zajęcy, rogaczy i kaczek, bo np. pozwolenie, które się daje w myśl ustawy na tępienie rogaczy przez dziewięć i pół miesiąca w roku, idzie za daleko. Należałoby termin odstrzału zredukować na czas od 1 czerwca do 1 listopada, przyczem mówca za ideał uważa, aby do rogacza wolno było strzelać tylko kulami.

Co do zajęcy należałoby rozpocząć ochronę już od 15 stycznia do końca października, a polowanie na kuropatwy powinno się zaczynać 15 września a kończyć już 15 listopada.

Delegat Kazimierz Wysocki oświadczył, że korzysta z obecności delegata P. Wojewody i zwraca uwagę na to, że wszelkie usiłowania myśliwych i wszelka ich praca będą zupełnie bezcelowe, tak długo, jak długo władze będą występować tak, jak dziś występują przeciw kłusownikom. Dziś już trudno znaleźć dozorcę, któryby złożył przysięgę i chciał dokładnie wykonywać swoje obowiązki. Na przyłapanego na uczynku kłusownika, zapada w sądzie wyrok skazujący go na trzy dni z zawieszeniem na trzy lata. Treść takich wyroków dochodzi do wiadomości strażników łowieckich, którym ten sam kłusownik grozi śmiercią lub kalectwem. Udaje on, że chce uciekać, ale w tej chwili odwraca się i strzela. Te rzeczy i taki stan muszą ustać.

W rawskim powiecie żyd Sperber, nadawał 17 zajęcy w czasie ochronnym. Przyłapano go na kolei i zające skonfiskowano. Ale złapany nie powiedział od kogo kupił. Dano mu pięć tygodni aresztu z zawieszeniem kary na lat pięć.

Poprostu ręce opadają. Każdy wie, co dziś dozorca kosztuje. Człowiek ten pilnuje las dniem i nocą. Cóż z tego. Kiedy złapie kłusownika, jest świadkiem, jak temu kłusownikowi nic się w sądzie nie dzieje. (Oklaski).

Dr. August Łoziński, Prezes Miejskiego Towarzystwa Myśliwych, nawiązując do słów przedmowcy

cytuje fakt, że w powiecie lwowskim zaszedł wypadek, że schwytano członka zarządu gminnego na kłusownictwie. Ofiarował pokrzywdzonemu Towarzystwu 1000 zł. na cele dobroczynne, byle tylko nie robić przeciw niemu doniesienia. Towarzystwo na takie załatwienie sprawy nie zgodziło się, tymczasem rezultat był taki, że został zasądzony na 10 zł. kary, a zwrócono mu broń mimo, że nie miał zezwolenia na jej posiadanie. — Reprezentowane przez mówcę Towarzystwo miejskie daje dozorcy 50 zł. za złapanie kłusownika, a przyłapany przez niego kłusownik, dostaje 10 zł. kary.

Dr. Aleksander Ruczka wyraził zdanie, że zabita zwierzyna jest przez sąd zawsze za mało taksowana. Ocenia się jej wartość tylko według wartości mięsa. Sprawy te i w sądzie zmieniłyby się, jeśliby się udało tam wprowadzić zaprzysiężonego członka Towarzystwa dla otaksowania nietylko mięsa zabitej przez kłusownika zwierzyny, ale i hodowlanej straty kłusownictwem wyrządzonej i tym sposobem ułatwić wydawanie sprawiedliwszych wyroków. Trudno, jeśli się dziś mówi, że zając wart jest zł. 6, to sędzia skazuje według tej wartości. Jeśli jednak sędzia uzna argumenty znawcy i doda jeszcze wartość straty hodowlanej, którą stanowi ubytek zwierzyny dla gospodarstwa łowieckiego, to wtedy sprawa stanie inaczej i w oczach bezstronnego sędziego.

Inż. Adam Ebenberger stwierdził, że są sędziowie, którzy sprawy strat czynionych przez kłusowników już należycie traktują. Do Wydziału M. T. Ł. zwrócił się sędzia z żądaniem wydelegowania znawcy dla oszacowania szkody przez kłusownika wyrządzonej. Chodziło o kłusownika z powiatu kosowskiego. Delegat nasz oszacował należycie powstałą przez zabicie jelenia stratę, uwzględniwszy właśnie wszystkie względy, coś na około 600 zł. i ten szacunek sędzia przyjął za miarodajny tak dla wymiaru kary jak i przyznania odszkodowania.

Dziś już nie zawsze sądy przechodzą nad stratami hodowcy, czy właściciela polowania do porządku dziennego. Byłoby zresztą dziwnem, gdyby sędziowie ferowali wyroki, nie zwracając się do biegłych o ocenę straty. Należałoby więc, aby taki znawca - myśliwy stawał, jako rzeczoznawca, w wypadkach, gdy sędzia nie jest sam łowcą.

Ważną rzeczą też jest stanowisko, jakie zajmują sądy wobec konieczności obrony własnej straży łowieckiej. Uciekający kłusownik schwytany na gorącym uczynku jest właściwie wciąż niebezpieczeństwem dla ścigającego dozorcy. Ucieczka jest często pozorem, a w każdej chwili może uciekający kłusownik się odwrócić i wygarnąć do ścigającego, jak długo ma broń przy sobie. — W Niemczech obecnie jest tak, że myśliwy złapawszy kłusownika, ma prawo użyć przeciw niemu broni, chyba, że kłusownik rzuci broń na ziemię. Motyw tego paragrafu jest taki, że kłusownik ucieka pozornie zazwyczaj poto, by za pierwszą zasłoną odwrócić się i strzelić do ścigającego. Sąd tam nie trzyma się ślepo tego, że strzał do kłusownika musi być oddany z przodu. Sąd w takich wypadkach kładzie nacisk na to, że większą wiarę u niego powinien mieć ten, który stoi po stronie prawa, aniżeli ten, który to prawo łamie. Gdy i u nas zmienią się rzeczy w tym kierunku, wtedy straż nasza z większą radością brać się będzie do swej bardzo niebezpiecznej pracy.

Wiceprezes A. Sander, zaznaczywszy, że zabiera głos jako zwykły członek Towarzystwa, a nie jako wiceprezes, wyraził zdanie, że postulat p. Milewskiego, strzelania rogaczy tylko kulami względnie tylko na

---

ST. BARABASZ

Czeladź św. Huberta

(Dokończenie)

Po wielu latach spotkałem się ponownie z łowczym. Ja byłem żonaty a on wdowcem. Był wtedy już na emeryturze i mieszkał na Prądniku Czerwonym, gdzie kupił dworek z ogrodem, i hodował, jak dawniej, przepiękne róże. Zajmował się gorąco sprawami autonomicznemi, należał do rady powiatowej krakowskiej, przyczem administrował lasami niektórych klasztorów i prywatnych właścicieli.

Przypomnieliśmy sobie dobre dawne czasy w Niepołomicach. Ale i tu znalazł kogoś, kto „nie był wart, aby go hycel pałką zabił". Był to nauczyciel, z którym poróżnił się przy kartach.

Chłopi a raczej baby ze wsi Kobylany, która była własnością zakonu Norbertanek na Zwierzyńcu, żalili się przed ksienią, że leśny tamtejszy, chłop młody i nieżonaty, robi spustoszenie między dziewczętami. Ksieni zwróciła się do łowczego z wyrzutami i poleciła, aby leśnemu zakazał i zgorszeniu zapobiegł. Łowczy oburzył się:

„Przecież to także człowiek a do tego zdrów jak byk".

Łowczy lubił mnie za moją pasję myśliwską i na moje prośby urządził kilka polowań w Wielkich Drogach, Wołowicach i Kobylanach, ale tylko raz do roku. Polowania te, zwłaszcza w Wołowicach, były bardzo miłe, dosyć dużo zajęcy, kilka lisów i rogaczy padało zwykle na nich. Po polowaniu gromadziliśmy się u leśnego na odpoczynek i przekąskę. Pito zdrowie króla polowania, a przedewszystkiem kochanego łowczego, jako tego, który zające „robi" co miało znaczyć stara się o rozmnożenie zwierzyny.

Do zaproszonych należał także naczelnik sądu z pobliskich Liszek. Była to zabawna figura. Wzrostu bardzo małego, filigranowy, z wąsikami jak szpileczki, ubrany w jasno popielaty garnitur myśliwski z zielonemi wyłogami i takimże twardym melonikiem, ozdobionym całym ogonem z cietrzewia. Ruszał się żwawo, ciągle zabierał

podchodzie i podjeździe, jest zbyt daleko idący. Musimy się bowiem liczyć ze stosunkami u nas w Małopolsce panującemi, gdzie na polowaniach bardzo prawidłowych myśliwych, strzela się rogacza przed naganką. O ile zaś chodzi o stanowisko jakieby M. T. Ł. w tej sprawie zająć miało, to nie można zapominać, że ono nie opiera się dziś wyłącznie na posiadaczach własnych rewirów, lecz także i na Towarzystwach myśliwskich, dla których wykonywanie polowania na rogacze tylko na podchodne nastręcza trudności, ze względów natury osobistej członków tych Towarzystw. Prawdziwy myśliwy nie potrzebuje regulowania tej sprawy przepisem prawa pisemnego i urządzi ją według swego najlepszego sumienia myśliwskiego, ale w każdym razie nie można tej sprawy tak stawiać, aby strzelających rogaczy, choćby śrutem przed naganką, przyrównywać z kłusownikami, czego nie uczynił tu p. Milewski, lecz co w zacietrzewieniu polemiki pisemnej w tej samej sprawie z innej strony przed rokiem uczyniono.

Delegatowi Leopoldowi Łysakowskiemu, który pytał czy Wydział trwa w zamiarze wydania całości dzieł Aleksandra Ubysza, wyjaśnił Dr. Witołd Ziembicki, że przeszkodą w urzeczywistnieniu wydania dzieł Ubysza było to, że drukarnia Anczyca w Krakowie zażądała 20.000 zł. na pokrycie nakładu. Suma jest tak wysoką, bo dzieła Ubysza są nietylko znakomite, ale i liczne. Komplet stanowiłby dwa bardzo grube tomy. Wydawanie zaś partjami nie byłoby pożądane. M. T. Ł. zwróciło się do członków Towarzystwa z zapytaniem, czy byliby skłonni do subskrypcji, nikt jednak nie chciał subskrybować.

Przy punkcie „sprawozdania finansowego", gdy Walne zgromadzenie na wniosek pułkownika Alfreda Knappa zwolniło skarbnika od odczytywania pisemnego sprawozdania w „Łowcu" zamieszczonego, zarządził Prezes odczytanie bilansu surowego, z którego gdy się okazało, że zaległości w składkach wynoszą około 16.000 zł., delegat Kazimierz Wysocki zapytał czyby tym Panom, którzy zalegają z wkładkami nie można było wysłać „Łowca" za zaliczką w wysokości zaległych wkładek?

Kierownik biura Władysław Wesołowski wyjaśnił, że uciekaliśmy się już do próby wysyłania „Łowca" za zaliczką. Rezultat był ten, że najczęściej przesyłka taka wracała z powrotem. W rezultacie ponosiliśmy 2-krotny koszt przesyłki. Zmieniliśmy więc sposób. Co kwartału wysyłamy do wszystkich Panów zalegających, kartki z przypomnieniem. Na to niektórzy Panowie reagują i płacą należność. Ale inni nawet nie odpowiadają, a potem osobiście zjawiwszy się we Lwowie, zapytują o stan swych wkładek, a kiedy odpowiadamy, że zawiadomiliśmy o należności kartkami, spotykamy się z argumentem: „Kiedy ja tych kartek nie czytałem".

Do tych wyjaśnień dodał wiceprezes A. Sander, że zaległości wynikły też w pewnej mierze w związku z okresem ferji. Mec. Rosienkiewicz przerwał na ten czas swoje agendy, a potrzebną jest współpraca kancelarji Dr. Rosienkiewicza i kancelarji Wydziału. Biuro zrobi wszystko, co będzie możliwe, ale czy te zaległości będą całkowicie usunięte, niewiadomo. We wrześniu pójdą znowu listy upominawcze. Jeżeli to nie pomoże, to wystąpimy ze skargami sądowemi przeciw niepłacącym.

Na wniosek delegata Leopolda Łysakowskiego, Walne Zgromadzenie uchwaliło Wydziałowi absolutorjum z czynności i rachunków.

Następnie Stanisław Madeyski jako delegat

---

głos, wydymając przytem usta, jak król Jan Kazimierz. Gdy przy rozkładzie rozdawał łowczy gościom zające i polecił leśnemu włożyć do wózka panu naczelnikowi sądu zająca, ten odezwał się: „a grubego tam wybierz".

Przy posiłku i szklance toczyły się jak zwykle opowiadania o różnych przygodach myśliwskich, w których zabierali głos goście należący do honoracjorów, czyli izby wyższej, izba niższa złożona z oficjalistów i przygodnych myśliwych, minorum gentium, słuchała z uszanowaniem tych opowiadań, zaprawionych grubo łaciną myśliwską.

Gdy raz nastała chwilowa przerwa, odezwał się głos niezauważonego dotychczas myśliwego z tej izby niższej:

„Ja panom opowiem zdarzenie, które wyda się nieprawdopodobne, a które przed laty przeżyłem. Wracając z obchodu służbowego, szedłem wzdłuż wału a raczej grobli, która okrążała staw zarosły trzciną i szuwarem, zobaczyłem z daleka nad stawem jakieś dwie żółte plamy, z których jedna poruszała się ciągle w stronę stawu i z powrotem. Zaciekawiony, pod osłoną wierzb rosnących nad stawem, podkradam się bliżej i cóż widzę? Oto pod wałem leży lis na grzbiecie z rozłożonemi nogami, a drugi niesie coś w pysku ze stawu i kładzie mu na brzuch. Co to jest? Wyjmuję lornetkę i widzę, że to pijawki, które leżą na brzuchu liszki. Zgłupiałem.

Całe towarzystwo umilkło, nie wiedząc co o tem myśleć, bo poważny ton opowiadającego nie dopuszczał wątpliwości. W tem jeden myśliwy z izby wyższej, ten który najwięcej łgał, nie mogąc wytrzymać, zawołał: I zrobił pan dubletę?"

Ten zaś spokojnie odrzekł: A konwencja genewska co mówi? Przecież według ustawy międzynarodowej, nie wolno strzelać do chorego, ani do sanitarjusza, chociaż ten coprawda nie miał opaski czerwonego krzyża na przedniej łapie.

Dopiero teraz zrozumieli wszyscy, jak ich srodze nabrał i wybuchnęli głośnym śmiechem.

Czasem niektórzy przebierali miarkę w piciu, ale to się działo już po polowaniu. Jednego starego myśliwego, już trochę podchmielonego częstowano rumem, gdy nie chciał pić, wmówiono w niego, że to jest czarna kawa z rumem, którą on bardzo lubił, trunek przekupek kra-

na Narodowe zawody strzeleckie, zdał wyczerpujące sprawozdanie z odbywających się właśnie zawodów.

W sprawie tej zabierali głos Władysław Garapich, gen. Walery Marjański, Albert Mniszek i delegat Polskiego Związku Czesław Lisowski. Wszyscy mówcy stwierdzili po kolei, że tegoroczne Narodowe zawody wykazały jeszcze wiele braków, a szczególnie po macoszemu potraktowano zawody myśliwskie t. j. urządzenia strzelnicy do rzutków i do jelenia. Podniesiono jednak równocześnie, że czynnikom wojskowym i innym, zajmującym się bezpośrednio sprawą przygotowania strzelnicy, nie brakło dobrej woli, owszem, życzenia nasze spełniano z całą gotowością, ale tylko według możności technicznych, gdzie jednak właśnie trafiano na przeszkody, wynikające szczególnie stąd, że wskazówki co do strzelnic dla strzelań myśliwskich, nadeszły z Komitetu głównego z Warszawy bardzo późno.

Wyrażono nadzieję, że wadliwości te, do przyszłorocznych Narodowych i Międzynarodowych zawodów strzeleckich, tu we Lwowie rozegrać się mających, dadzą się usunąć, a delegat Centrali Czesław Lisowski apelował gorąco do M. T. Ł., by sprawę strzelań myśliwskich, wzięło energicznie w swoje ręce i starało się, by strzelania te w roku przyszłym, stały się wzorem nie łatwym do prześcignięcia.

Tenże delegat Centrali poruszył w swem przemówieniu nadto sprawę stosunku władz, szczególnie centralnych, do łowiectwa, sprawę wprowadzenia w Polsce strzelania do żywych gołębi i sprawę budowy domu dla pomieszczenia Polskiego Związku łowieckiego.

W sprawie pierwszej mówca stwierdził, że chociaż władzom centralnym nie można zarzucić, by się do łowiectwa odnosiły nieprzechylnie, to jednak jest u nich mało zrozumienia dla potrzeb łowiectwa, a w szczególności utarła się u tych władz uparta opinja, jakoby łowiectwo mogło w każdym wypadku finansowo samo sobie radzić. Dość powiedzieć, że na taką imprezę, jak niedoszłe obesłanie wystawy Lipskiej, przeznaczono subwencji zaledwo 1.200 zł., tak iż właściwie można być zadowolonym, że rzecz ta ze względów politycznych do skutku nie doszła, gdyż w takich warunkach finansowych, nie zdołalibyśmy utrzymać na wystawie prestige'u należnego dużemu i w wysoką zwierzynę bogatemu Państwu, choćbyśmy nawet najlepsze tam nasze wysłali eksponaty.

W sprawie zaprowadzenia w Polsce strzelania do żywych gołębi, to chodzi o cofnięcie okólnika Ministra spraw wewnętrznych, zakazującego tego strzelania. Ten okólnik motywowano tem, jakoby strzelanie to było znęcaniem się nad ptactwem. — Strzelanie to jest jednak uprawiane prawie we wszystkich Państwach zachodnich, a przeto i Polska nie powinna w tym względzie w tyle pozostać. — Co do budowy domu łowieckiego w Warszawie, to mówca wyjaśnił, że dom taki jest konieczny. Polskie Towarzystwo Łowieckie, stanowiąc Klub, dało Polskiemu Związkowi Łowieckiemu co mogło, t. j. jeden pokój. Ani tam kogo przyjąć, ani nie może się tam kto zgłosić. Związek jest daleki od myśli budowania zbytecznych domów, lecz powinien mieć tyle miejsca, aby było gdzie skutecznie pracować. W obecnych warunkach, jest to prawie niemożliwe, w takim stanie praca musi dać mniejsze rezultaty.

Delegat Kazimierz Wysocki, zwrócił uwagę delegata Centrali, że pomoc Małopolski na budowę domu łowieckiego nie będzie mogła być hojną, a będzie tak nie ze złej woli, ale z powodu niemożności. Sami 54 lat

---

kowskich, tak zwany kubek. Dał się namówić i już potem dobrze pociągał z flaszki.

„Panie Taniszewski, czy dobra ta kawa"?

„Doskonała, bo z troszeczką rumu".

Mnie raz takie zakrapianie zaszkodziło, a było to w Wielkich Drogach, czy w Bęczynku. Gdy nadjechał wóz z prowiantami i napitkiem, delektowaliśmy się doskonałym sikunem austrjackim i gasili pragnienie, gdy nagle łowczy dał znak: Panowie na stanowska, bo nagonka już zachodzi".

Zapomniałem wtedy włożyć ładunki i klapnąłem do dwóch lisów, które przed mojem stanowiskiem się kręciły. Od tego czasu nigdy na polowaniu nic nie piłem.

*

W małem miesteczku Brz. w Małopolsce, mieszkał p. X. właściciel apteki, który od wczesnej młodości strzelbą się bawił. Niestety wybrał sobie zawód, który najmniej daje wolności do hołdowania temu szlachetnemu sportowi, jakiem jest polowanie, tem bardziej, że pan aptekarz był szefem i równocześnie przedstawiał cały personal tej instytucji, nb. oprócz niezbędnego laboranta — Józka.

Ale żyłka myśliwska była silniejsza od obowiązku kręcenia pigułek i przyrządzania mniej lub więcej trujących leków.

Gdy nie było ruchu w aptece, co zdarzało się dosyć często, chwytał pan aptekarz za dubeltówkę i torbę, gwizdnął na psa i tyłem przez ogród wymykał się na pobliskie łąki, zapowiadając przytem laborantowi:

„Józek, gdy ktoś przyjdzie kupić rumianku, mięty albo olejku rycynowego, to wydaj sam, wiesz gdzie co jest, ceny są popisane, a pamiętaj, że torebki i flaszeczki są porachowane. Gdyby zaś przyniósł kto receptę nie bardzo pilną, to wywiesisz na dachu chorągiew białą, a jeżeli bardzo pilną, to wywieś czerwoną chorągiew".

Wyszedłszy na łąki, odetchnął pan aptekarz całą piersią, rozkoszując się miłym zapachem traw i ziół, który po zaduchu laboratoryjnym wydał mu się przecież zdrowszym od jego własnych leków i zapachów aptecznych. Puścił psa, kazał mu szukać i postępował powoli za nim.

istniejemy, a lokalu własnego nie mamy. Rany powojenne jeszcze są u nas niezagojone, nasz teren był takim samym terenem wojennym, jak teren Francji, pomoc nasza będzie bardzo mała, ale damy to, co dać będziemy mogli.

Przy zarządzonych w kolei porządku dziennego wyborach uzupełniających, zostali w głosowaniu kartkami wybrani do Wydziału Marjan Chrzanowski, Tomisław Jędrzejowicz, gen. Walery Marjański, Stanisław Pieńczykowski i Aleksander Ulm, a zaś zastępcami członków Wydziału Tadeusz Barański i Stanisław Jaśkiewicz, wobec czego skład Wydziału na rok 1930/31 przedstawia się następująco:

Prezes Juljusz hr. Bielski, wiceprezesi: Cyryl Czarkowski-Golejewski, Albert Mniszek, Dr. Alfred Sander i Gen. Józef Stiller (jako Prezes Oddz. M. T. Ł. w Krakowie); członkowie Wydziału: Marjan Chrzanowski, Inż. Adam Ebenberger, Władysław Garapich, Tomisław Jędrzejowicz, Dr. Aleksander Małaczyński, gen. Walery Marjański, Dr. Franciszek Piechowski, Stanisław Pieńczykowski, Henryk Prek, Dr. Jerzy Rosienkiewicz, Aleksander Ulm i Dr. Witold Ziembicki; zastępcy członków: Tadeusz Barański, Stanisław Jaśkiewicz, Stanisław Kiełczewski, Stanisław Madeyski, gen. Franciszek hr. Meraviglia i Aleksander Papara.

Członkami Komisji rewizyjnej wybrani zostali na dalsze trzy lata: Inż. Kazimierz Gąsiorowski i Dyonizy Toth, zaś do Sądu myśliwskiego wybrano wszystkich sędziów dotąd swe funkce sprawujących, a w miejsce dwu sędziów zmarłych, wybrano Wojciecha hr. Gołuchowskiego i Zygm. Gronziewicza. Skład Sądu myśliwskiego jest zatem następujący: Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Inż. Kazimierz Gąsiorowski, Wojciech hr. Gołuchowski, Zygmunt Gronziewicz, Tomisław Jędrzejowicz, Dr. Aleksander Małaczyński, Stanisław hr. Mycielski, Kazimierz Przybysławski, Dr. Ludwik Smoleński i Dr. Adam Sołowij.

Przy wolnych wnioskach zabrał jeszcze głos delegat Kazimierz Wysocki i rzucił myśl, iż powinna po nas pozostać jakaś pamiątka i dlatego powinniśmy przystąpić do zebrania topograficznych opisów poszczególnych powiatów pod względem zalesienia, roli, łąk, rzek płynących i zwierzyny, w powiecie odnośnym występującej. Byłoby to pamiątką, która nie pozostawałaby bez znaczenia dla przyszłości. Wydział powinien żądać od delegatów takich opisów, a one powinne potem być ogłaszane w „Łowcu" tak, aby nie było po latach 50 i 100 wątpliwości, jak kiedyś dla myśliwego wyglądał dany teren. Ważność takich opisów wykazuje mówca faktem, że ś. p. A. Ubysz polował na terenie, na którym mówca dziś poluje. Czytając jednak jego opisy, mówca dziś znajduje na tym terenie coś całkiem innego, jak to, co opisywał Ubysz.

Wniosek ten, względnie rezolucję K. Wysockiego, poparł gorąco Prezes Towarzystwa, a Walne Zgromadzenie rezolucję tę aklamowało, wyrażając swą zgodę gromkim poklaskiem.

Seweryn Krogulski, członek honorowy Towarzystwa, przypomniał, że z pewnym uporem rok rocznie nawołuje do urzeczywistnienia sprawy opracowania słownika łowieckiego. — Dla tej sprawy należałoby wyłonić z Wydziału Komisję i nią się pilnie zająć, a byłaby to znowu pamiątka, jakąby Wydziały, w najbliższych kilku latach urzędować mające, mogły pozostawić.

Prezes Towarzystwa oznajmił, że sprawą wydania słownika łowieckiego należałoby raczej zająć Polski

---

Pies obłóczywszy kilka razy, zaczął wyraźnie interesować się jakimś tropem i powoli ściągać, wreszcie stanął, a potem znów ciągnął nosem nisko nad trawą i sznurował po całej łące w prawo i w lewo.

„Szelma chróściel go wodzi, czekajże, my cię tu przecie wystraszymy".

Podniecał psa ciągle: „Karo idź dalej". W tem przypomniał sobie aptekę i oglądnął się na miasteczko.

„Masz tobie, biała chorągiew wystawiona, ale to nic, tymczasem chróściela wyparujemy z trawy i zastrzelę go".

I znowu rozpoczęła się gonitwa za nim po całej łące. Pies zniecierpliwiony od czasu do czasu robił skoki, chcąc ptaka biegnącego mu przed nosem w gęstej trawie chwycić w pysk, lecz nadaremnie, bo on szybował w trawie, jako szczupak w Niemnie.

I myśliwy zaczął się także niecierpliwić. W tem zobaczył czerwoną chorągiew na dachu apteki.

„Psiakrew, niechże djabli porwą wszystkich doktorów, chorych i Józka razem na kupę, niech mnie... człowiek chwili wytchnienia niema, uwiązany jak pies do tej obrzydliwej budy i śmierdzących leków — nie pójdę".

W tem chróściel wyparty przez psa zerwał się, aptekarz poirytowany strzelił dwa razy i spudłował.

Ze spuszczoną głową wracał do swego obowiązku.

*

W Kalwarji Zebrzydowskiej, w dobrach klasztornych Ojców Bernardynów, urządzano tradycyjne polowanie w dzień wigilji Bożego Narodzenia, w którem brali udział myśliwi z miasteczka i przygodni goście. Klasztor reprezentował ojciec Rafał, który w długim habicie przepasanym sznurem, futrzanej czapie na głowie, ze strzelbą na ramieniu dreptał ochoczo po śniegu i widać było z jego roześmianej twarzy, jak wielką przyjemność sprawia mu branie udziału w polowaniu.

Stawał zwykle na flance, składał się do każdego przemykającego zająca, lecz nie mógł jakoś zdecydować się strzelić.

Gdy tak raz ciągnie lufą za pomykającym wzdłuż linji kotem, mierząc przy tem po nogach myśliwych, jeden

Związek Stowarzyszeń Łowieckich, na którego obradach już raz tę myśl sam podniósł i poruszy ją tam znowu na posiedzeniu Zarządu Głównego w listopadzie r. b.

Następnie Prezes, zwróciwszy się z podziękowaniem za gościnę do gospodarzy sali w osobie P. Łuszczewskiego, jako Prezesa Towarzystwa Rolniczego, zamknął obrady Walnego Zgromadzenia o godzinie 13^{30}, po wyczerpania całego porządku dziennego.

S.



W obronie jelenia w Karpatach

(Odnośnie do artykułu w „Łowcu” Nr. 15/930, str. 234 pod powyższym tytułem)

I.

Dyskusja w powyższej sprawie zaczęła się toczyć w naszych najpoważniejszych pismach łowieckich. Pragnienia moje od lat dziesięciu — spełnione. że rezultat musi wypaść po myśli konsekwencji w kulturze łowieckiej — taksamo nie wątpię, jak i w to, że wobec siły i ferworu obrońców tezy przeciwnej obronie rui jako aktu hodowlanego — nie prędko to jeszcze nastąpi.

Jeszcze w r. 1923 w „Łowiectwie Polskiem“ (Nr. 10, Poznań, kwiecień) pod wrażeniem pięknego artykułu p. Czarkowskiego-Golejewskiego w obronie łowów na rykowisku, przyszli mi na myśl średniowieczni rycerze, którzy mimo lśniącej zbroi, muszą jednak ulec postępowej idei przeciwników. I znowu porównanie to ciśnie mi się pod pióro, gdy czytam ustępy apologji pp. Przedrzymirskiego i Tarnowskiego w przytoczonym u góry artykule. Jednak i za moją tezą odezwał się tam pierwszy głos. Oto w ustępie „IV.“ znajduję zasadnicze i bardzo wymowne poparcie ze strony pierwszorzędnego obrońcy spraw łowieckich, jakim z dawna poznaliśmy wszyscy w „Łowcu“ p. Kazimierza Wysockiego.

Naturalnie na cały piękny ustęp pióra p. Przedrzymirskiego, nietylko p. H. Tarnowski się zgadza, ale i my z pod znaku ochrony rui wszelkiego stworzenia — raz uznanego za godne życia! Toć i my wyznajemy cnotę tam łowcom zalecaną, unikania zbytniego odstrzału, — ale „wędzidło, które oni w tym kierunku potrafią swym namiętnościom nałożyć“ — przedewszystkiem pragnęlibyśmy widzieć stosowane do rozpłodników jeleniego rodu w porze rui. Tu więc chodzi nie o „ujęcie rzeczy

z nich o mało ze skóry nie wyskoczył i zawołał: Do kroćset djabłów, niechże ksiądz do nas nie strzela“.

Ojciec Rafał z uśmiechem odparł, łamiąc strzelbę:

„Dobrodzieju, niema obawy, ja nigdy nie wkładam ładunków, nie chcę robić krzywdy tym biednym zajączkom, a tym mniej moim bliźnim“.

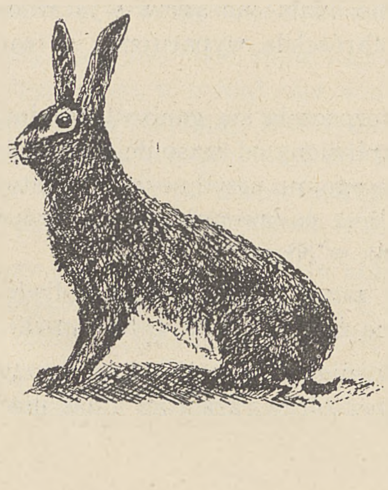
Kochał on zwierzęta, las, przyrodę, lubił towarzystwo, ruch i dlatego chodził na polowanie, a strzelba służyła mu jako niezbędna legitymacja uprawniająca go do brania udziału w tej zabawie.

*

Gdy przebiegam myślą te minione czasy, wywołując w pamięci postacie towarzyszy myśliwych, leśnych, kłusowników i naganiaczy, te charakterystyczne, niecodzienne typy, żal mi, że to wszystko minęło. Bo i ludzie się minęli i polują już na tamtej stronie w rewirach Wielkiego Ducha, a św. Hubert rozdziela im nagrody lub kary, stosownie do tego, jak mu służyli za życia, czy wiernie i bezinteresownie, czy też dla własnej korzyści. Jednych pasuje na rycerzy, drugich redukuje na naganiaczy, kłusownikom każe karmić zwierzynę, zontagsjegerom każe psy prowadzić, a chciwym strzału i zwierzyny każe łupić ją ze skóry i patroszyć.

Ja tłukę się jeszcze jako jeden z ostatnich po świecie, a nie mogąc wzorem starych woźniców furmanić, kręcę sobie bicze z przędzy wspomnień.

K O N I E C



w żadne formy prawne", istniejącej, nie o formalność chodzi, ale o zasadę, — o kardynalne sprostowanie praktyki łowieckiej, — o to, co dawno w każdej innej hodowli za jej część istotną i podstawę jest uznawane, a co dziwnym sposobem, dla najcenniejszej naszej zwierzyny, jako rzekomo bez znaczenia, niema dotąd zastosowania.

Również popieramy tezę przeciw „strzelaczom", boć jeżeli do każdego myśliwstwa powinien mieć pierwszeństwo myśliwy, a nie „strzelacz", — to tembardziej, jeżeli się rozchodzi o rewiry karpackie z jeleniami. Tylko, dążymy do tego i ufamy, że przyjdzie czas, iż ujemne pojęcie „strzelacza" zostanie w etyce, a więc i w ustawie łowieckiej, zasadniczo rozszerzone i odpowiednio potraktowane co do każdego strzelającego do zwierzyny uznanej za szlachetną czy użyteczną — przedewszystkiem w porze jej rui.

W międzyczasie ukazał się artykuł w „Łowcu Polskim" Nr. 30, 1930 „O ochronie jelenia" Dra R. Zenktelera. Swe zapatrywania co do tez tam podniesionych już Ł. P. przesłałem zaraz. Nie mogę jednak ujawnienia bardzo zasadniczego znaczenia, które na czele tego artykułu znalazło miejsce — i tu nie podnieść.

Oto autor, z głęboką wiarą w słuszność swej tezy, każe po prostu ustawie sankcjonować każdą rozkosz jaką danemu łowcy strzał przynosi — ponieważ ustawa jest na to, by te dreszcze legalizowała, inaczej nie spełnia swego zadania!

Po przeczytaniu tego wyznania, otwarły mi się nagle oczy, że takie pojmowanie spraw może być podstawą postępowania także wszystkich innych uznanych za pierwszorzędne powagi myśliwych, a którzy na poparcie tez wypowiadanych przez siebie nie rzucają nic, prócz swej pierwszorzędnej reputacji nieposzlakowanych łowców,— a w gruncie rzeczy również tylko doznawanych w strzale rykowiskowym dreszczów bronią! To jest też powodem, że tacy chcą utrzymać przepis ustawy, który godzi wprost w podstawę racjonalnego pojmowania wszelkiej hodowli!

Dr. Zenkteler swem jasnem wyznaniem niesłychanie oparł i wykazał, jak potrzebne jest postawienie kwestji ujęte przez p. K. Wysockiego w dwa zasadnicze pytania w omawianym artykule (IV.) podane.

W imię więc ujawnienia przez Dra Zenktelera możliwości takich zapatrywań — prosimy o odkrycie przyłbicy wszystkich walczących za zakrywaną dewizę „rozkosz strzału uświęca jego rację".

Kończąc na dzisiaj, apeluję do wszystkich zabierających głos w dyskusji — o utrzymanie tonu na wysokości powagi przedmiotu.

Rozchodzi się o utrzymanie pereł naszego łowiectwa!

Kiedyś może dalsze generacje myśliwych Europy będą z wdzięcznością wspominać te nasze słowne utarczki, dzięki którym polskie łowiectwo przekazało im bez uszczerbku najpiękniejszą swą faunę!

Niema w nich więc miejsca na osobiste animozje i docinki.

Dr. Władysław Burzyński

II.

Od dłuższego czasu toczy się polemika w łamach czasopism „Łowiec" i „Łowiec Polski", a zasadniczą treścią jej jest bardzo dobrze pojęta i zrozumiana konieczność zaradzenia degeneracji i nadmiernemu odstrzałowi „dużych" jeleni, tej jedynej chluby naszych lasów karpackich. Artykuły z wielką znajomością sprawy redagowane, pochodzą z pod pióra poważnych i przyrodę miłujących myśliwych pp. Dra W. B. i Redaktora A. M.; pierwszy z tych panów jest p r z e c i w, drugi z a rykowiskiem, względnie za odstrzałem na rykowisku.

że jeleń nasz karpacki wart jest nawet zaciętej polemiki i fachowej wymiany zdań, opartej na długoletniem badaniu jego bytowania w naszych leśnych ostojach, przytoczę zdanie hr. Palffy, który lat temu czterdzieścikilka dzierżawił całe obręby gospodarcze w lasach gr. orm. Funduszu na Bukowinie: Karlsberg, Kloster-Putna, Straża, Frassin, — i utrzymywał tam z wielkim nakładem cały zastęp strażników łowieckich z łowczym na czele — i ten rutynowany i zimnej krwi myśliwy często powtarzał: „es gibt doch nichts über eueren Karpatenhirsch". Zdanie to przytaczam, jako myśliwego nieprzeciętnej miary, znającego nietylko nasze Półkarpacie, a ocenę naszego jelenia przez niego niech mi wolno będzie uważać za miarodajną.

Jako stary, na schyłku dni swoich stojący myśliwy, który z zamiłowania do lasu i kultu św. Huberta poświęcił się zawodowi leśnictwa zbliżonemu jak najwięcej do fauny lasów naszych, a który najmłodsze i jako myśliwy, najgorętsze lata swoje spędził w górach i tu miał sposobność stykania się z grubą zwierzyną, a jelenia poznać nietylko w czasie odstrzału, ale i ochrony, — jestem stanowczo za wywodami p. Dra W. B., t. j. za stosowaniem każdego innego rodzaju polowania, b y l e n i e n i e p o k o j e n i a t e g o w s p a n i a ł e g o z w i e r z a w c z a s i e p o p ę d u p ł c i o w e g o.

Który z Panów myśliwych uznających kult myśliwski w etycznem tego wyrazu znaczeniu, może znać tak dokładnie zwyczaje i zachowanie się rodu jeleniego w jego stałych ostępach, jak to ma sposobność poznać zamiłowany leśnik-myśliwy — ten z pewnością twierdzić nie będzie, iż odstrzał jelenia poza rykowiskiem nie może wchodzić w rachubę! Pewnie, że trudniejszy jest niż na rykowisku, ale trudy te rekompensuje moc innych emocyj, spryt myśliwego, znajomość zwyczajów jelenia, spokój, cierpliwość, zimna krew — a w końcu strzał celny do osobnika dawno upatrzonego i „wygustowanego", na przesmyku o kilometry oddalonym od ostoi i zwykłej leży!

Wystarczy przecież dokładna znajomość terenu i obrębu leśnego co do rodzaju, wieku i zwarcia drzewostanów, znajomość przesmyków, któremi zwierzyna ciągnąć musi, powodowana plastyką terenu czy innemi względami, aby można z pewnością orzec, iż jelenie ruszone, tędy będą przechodzić — ruszone n i e z g r a j ą „k u n d l i, ale tylko cośkolwiek w ostoi zaniepokojone pojawieniem się strażnika, conajwyżej z jamnikiem na smy-

czy! Co za niezrównana emocja i wspaniały widok na tle jodłowo-bukowego drzewostanu — na ostrożnie, zwolna wyłamujące się stado jeleni, — widok godny Batorych i Sobieskich! Naprzód ostrożne, stare łanie, potem młódź, niedorosłe jelenie — i kapitalny w odwodzie! Czyż tu niema czasu na wybranie sztuki do odstrzału — i czy bez szkody dla rodu jeleniego nie można uzyskać kapitalnego poroża, godnego ścian sali wystawowej, pominąwszy użytek ze skóry i mięsa, gdyż i o tem myśleć się powinno! Czyż polowanie takie nie stoi o całe niebo etycznie wyżej, niż ubicie kapitalnego jelenia na rykowisku — tępego na słuchu i z wzrokiem przymglonym blachmanem naturalnego popędu, z uwagą zwróconą ku kokietującym go łaniom, a niepokojonego przez smyka-jelonka trzymającego się w pobliżu? — Co za satysfakcja po stronie myśliwego-strzelacza, który w brutalny sposób wkroczył i zamącił naturalne prawa przyrody-fauny??

Pytam Szanownych Panów uznających polowanie ponad wszelką inną kulturalną przyjemność, czy nie godniej jest stanąć na takim przesmyku, przed, czy po rykowisku i strzelić do wybranego jelenia dawno już przeznaczonego do odstrzału dla dzierżawcy, czy właściciela terenu myśliwskiego?

Czy jeleń tak samo jak rogacz nie wychodzi na polanki, łąki, owsy, czy nie leży w ostrężynach i nie spaceruje spokojnie po swoim „mateczniku", aby go w podchodzie nie można dostać, przy nowoczesnej zwłaszcza broni opatrzonej lunetą, a strzelającej z wszelką pewnością na setki kroków? Czy niemieckie „das Anpürschen des Kapitalhirschen" ma wiele wspólnego z rykowiskiem?

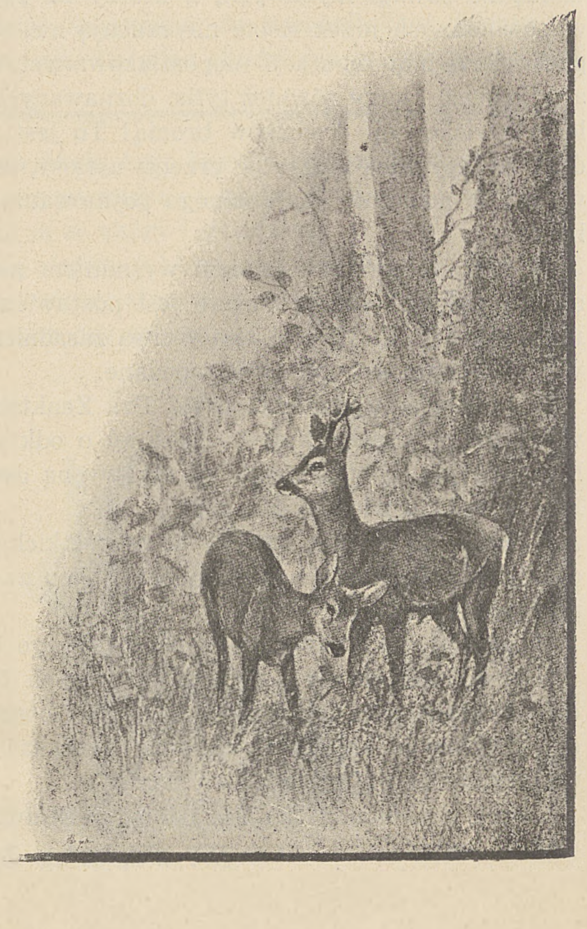
Kiedyż strzela jelenia kłusownik-złodziej, często, nawet z broni o gładkiej lufie, w najlepszym razie nieforemną kulą, chociaż nierzadko podczas rewizji konfiskowano skóry jelenie podziurawione lotkami? Skądże się brały i biorą nieraz kapitalne poroża z czaszkami u żydów w miejscowościach górskich, uprawiających niecny proceder takiego handlu? Przecież dosięga go kulą czy lotkami nie w noc czarną i nie dalej jak na kilkadziesiąt kroków taki myśliwy, — często bardzo w rykowisku, a przeważnie z zasiadki!

Jest jednak jedno „ale", które pomimo może wewnętrznego głosu potępienia dla odstrzału w rykowisko, stosowanie go powoduje: Odstrzał na podchodzie, z zasiadki i na wekslu, naraża na trud, niewygody i stratę czasu — podczas, gdy na rykowisku pewniejszy jest wynik, mniej trudu, mniejsza strata czasu, no i w końcu słyszy się jelenia, co dla myśliwych przebywających stale poza głęboką knieją górską, stanowi nieprzeparty urok; trudno bowiem takiemu panu wyjeżdżać w knieje jelenie osobno na rykowisko celem dopilnowania jego ochrony od kłusownika, dla siebie zaś tylko dla wysłuchu — a osobno jechać dla odstrzału!

Co do wzmianki w „Łowcu" 24-1929, iż jeleń dopiero „z czasem wydzierżawienia przez polskich panów polowań w górach i rozpoczęciem odstrzałów na rykowiskach" ze strony południowej Karpat przeszedł na naszą stronę, — zaznaczam, że powszechnie znaną jest rzeczą, iż z rozpoczęciem masowej, graniczącej z klęską, eksploatacji lasów karpackich galicyjskich, powstały ogromne przestrzenie zrębowe, które pozostawiono Opatrzności Bożej i wiecznemu spokojowi, bo o zalesienie tych zdewastowanych przestrzeni nikt się nie pokusił, — jeleń zwabiony soczystym porostem ostrężyn, malin, bujnych, słodkich traw i najrozmaitszych jagód, których nasiona dotychczas w łonie ziemi uśpione leżały, — przeniósł się do nas. Dzik natomiast opuścił częścią swe leże po tej stronie, ponieważ w nietkniętych w tej mierze lasach węgierskich, znalazł w wyższych położeniach bukiew, w niższych żołądź.

Kończąc, zaznaczam, iż do uzupełnionych przez p. Redaktora Mniszka wniosków p. Inż. Knothego w Nrze 24, 1929 „Łowca", do punktu 2-go, dodaćby należało do zdania: „...z zastrzeżeniem prawa odstrzału jednego byka rocznie dla zarządcy okręgu, — ale tylko po ukończonem rykowisku!" — Pozostaje mi tylko zaapelować do Szanownej Redakcji „Łowca", aby w imię świętej w sprawiedliwości zasady „audiatur et altera pars", zechciała powyższe me zapatrywania — bez wielkiej zwłoki umieścić w łamach Swego pisma.

Antoni Biberstein-Błoński



JAROSŁAW HUBÁLEK

Wierny przyjaciel

(Ciąg dalszy)

Szli sobie starą ścieżyną, wydeptaną przy podchodzeniu zwierzyny. Blade, zimowe słońce patrzało z góry na senny, zimowy krajobraz. Śnieg leżał na metr wysoko, wnosząc ze sterczących gdzieniegdzie główek i kłosów bujnych górskich traw. Na samorodnych, wichrami obalonych porębach, tkwiły zrzadka młode świerki i jodły, podobne do olbrzymiej czapy śnieżnej, wymarzonego schroniska dla drobnej zwierzyny. Lecz niema jej tu. Nie spotkasz nawet wiewiórki! Zanadto o niej myśli kuna. Biedactwo, by ujść tu całkowitej zagłady — chronić się musi w doliny, w pobliże ludzkich osiedli, gdzie kuna nie tak śmiało grasuje.

Leśniczy usiadł dla odpoczynku na zwalonym pniu jawora. Wyciągnął z plecaka termos z gorącą herbatą i zagryzał ją paprykowaną słoniną z chlebem. „Tośmy się piesku wydrapali na same szczyty" — przemówił do towarzysza — „poczkaj, dostaniesz i ty, tylko ze środka, bez papryki!" Boj schrupał jędrną słoninę, lecz chleba nie tknął. Poza domem nie jadał nic, chyba jaki smakołyk z łakomstwa.

Odpocząwszy, ruszyli raźno naprzód. Naraz pies stanął, wietrząc chciwie przed sobą. Do uszu leśnego doszedł chód sarny, czy jelenia, wolny i ciężki; słychać było wyraźnie, że zwierz zapada w śniegu.

„Poczekajmy trochę piesku" — szepnął leśny do Boja, „po co straszyć zwierzynę? Napróżno się biedactwo zmorduje ucieczką".

Po dziesięciu minutach poszli dalej. Uszedłszy około dwustu metrów natrafili na trop sarny. Znać było, że z trudem wydostała się na ścieżkę, po której szła równiejszym krokiem. Musiała mieć nogi poranione ostrą skorupą śniegową, na tropach bowiem tu i ówdzie widniały rubiny farby. Uszli jeszcze jakie dwa, może trzy kilometry — wciąż tropami sarny. Ścieżka wiodła przez stromy wąwóz, poczem wiła się wzdłuż potoczka obramowanego dzikiemi urwiskami skalnemi i połamanemi przez wichry drzewami. Wtem zamajaczyło coś ciemnego. Podeszli bliżej. Na ścieżce leżała sarna, wychudzona, w kałuży krwi. Boj zjeżył sierść i silnie rozdrażniony, nerwowo chwytał wiatr. Nie było wątpliwości: zachowanie się psa i świeże ślady mówiły nadto wyraźnie o niedawnej obecności rysia. Po śladach mógł sobie leśniczy uprzytomnić sytuację. Ryś przyczajony na pniu padłego buku, wykonał skok niemal 4-metrowy, zwalił się na kark sarny i złamał kręgosłup. Boj zaś zniknął jak kamfora. Nie widział w życiu rysia, lecz instynktem rasy przeczuł drapieżcę i wiedziony żądnym walki temperamentem, puścił się po tropie.

Po niedźwiedziu i wilku, jest ryś największym drapieżcą europejskim. Wytępiony doszczętnie w obcych krajach, trzyma się jeszcze zapadłych puszcz karpackich. Z szaloną wprost odwagą łączy nadzwyczajną sprężystość ruchów i olbrzymią siłę mięśni. Pod tym względem przypomina swego azjatyckiego stryjaszka — tygrysa. Jak każdy kot, rzuca się na ofiarę skokiem z góry, nie dbając o jej siłę i wielkość. Największym dlań przysmakiem jest zając, rzuca się jednak na każdą napotkaną sarnę, a nawet jelenia, ufny w potężne kły i ostre, długie, sierpowate pazury. Zamieszkuje głuche puszcze górskie i z głodu jedynie schodzi niżej w pobliże ludzkich osiedli. I tu nie wybiera w jadle. Powala tak dobrze kozę, jak owcę i jałówkę. Morduje więcej, niż pożre i w tem leży cała jego szkodliwość.

Ma jednak i on swą piętę Achillesową. Stosunkowo dość łatwo idzie w żelaza, a ponieważ lubi wracać do ofiary i nie mając na razie nic świeżego, kończy dawno zaczętą ucztę, łatwo bierze zadaną w niej truciznę. Pochodzi to stąd, że w porównaniu do wprost niewiarygodnej ostrości wzroku i słuchu — ma ryś stosunkowo słabo rozwinięty zmysł powonienia. Drugą słabą stroną rysia jest jego krótkowzroczna, bezkrytyczna obawa psów. Niedowierza szybkości nóg i woli raczej zatrzymać się w miejscu niedostępnem dla psa, przez co daje możność człowiekowi do przybliżenia się. To skoczy na złamany pień drzewa, to na gruby konar, lub biegiem wdrapie się na pochyłe drzewo. Natomiast wspiąć się na drzewo, jak kot, co często widuje się na obrazkach, nie potrafi, podobnie jak niedźwiedź. Zwłaszcza starszym sztukom przeszkadzają zbyt długie pazury. Zato biada psu, jeśli nieostrożnie atakuje rysia zbyt natarczywie; po jednem, bocznem uderzeniu łapą, pada biedak z przetrąconym kręgosłupem.

Jaworski znał się dobrze z rysiami, to też zaniepokoił się srodze o los kochanego pieska. Ryś co dopiero spłoszony, nie musi być daleko i Boj z natury zapalczywy, może go dognać i zaatakować wręcz, a wtedy biada psu. Bez namysłu zrzucił z siebie ciepły kaftan, zostawił na ścieżce wypchany plecak i z Mauzerkiem w garści puścił się biegiem po śladach Boja. Ledwie zdążył ubiec dwadzieścia kroków, gdy doleciało go ujadanie. Zdwoił krok. Co chwila przeskakiwać musiał, lub obchodzić wielkie pnie powalone, przeważnie chore i puste wewnątrz. Biegł już nie po śladach, lecz prosto na głos tego niepozornego stworzenia, które dlań, samotnika, było dziś największem i jedynem umiłowaniem. Ujadanie Boja wskazywało na to wyraźnie, że ryś opuścił pierwsze stanowisko i uchodził dalej. Wtem rozległ się po lesie żałosny skowyt i urwał się nagle. Równocześnie prawie Jaworski stanął na wierzchołku góry i ujrzał szaro-rudą szelmę między gęstemi drzewami. Strzał jeden i drugi były dziełem kilku sekund, poczem leśny popędził na miejsce strzału. Zobaczywszy tam biednego Boja, wijącego się w kałuży krwi, jak szalony pognał za uchodzącym rysiem, podniecany żądzą zemsty. Serce biło mu jak młotem, dławiło go poprostu. Nie zważał na nic, byle dostać w ręce zbója. Po pierwszych już śladach poznał, że kula siedziała. Biegł dalej. Zacharczało coś tuż przed nim. Stanął, spojrzał i osłupiał. Na niskim konarze buku siedział zbój gotowy do skoku. W zielonych ślepiach pełno nieubłaganej wściekłości, uszy zakończone czarnemi

szczoteczkami, położone po sobie, z otwartej paszczy wyszczerzone straszliwe kły purpurowe od wewnętrznego krwiotoku. Leśniczy był tak rozżalony i żądny zemsty za kochanego Boja, że o mały włos nie rzucił się z gołemi pięściami na zbója, niepomny, że życiemby szaleństwo przepłacił. Na szczęście zwyciężył rozum. Sekunda, suchy trzask i bestja stoczyła się z konaru...

Nie oglądając nawet trupa, wrócił się leśny do rannego Boja. Wierna psina ostatkiem sił wlokła się za nim, lecz osłabiona utratą krwi, legła na śniegu. Otarł rękawem łzy z oczu, ukląkł i począł badać rany. Jedna tylko była, ale straszliwa. Widocznie Boj z zaciekłością, rasie swojej właściwą, musiał rysiowi skoczyć do gardła i otrzymał jedno uderzenie łapą. Przednia noga lewa złamana, łopatka obnażona, mięśnie rozdarte do samej kości. Musiały pazury zawadzić głębiej, bo i żebra wyglądały na obrażone. Biedny piesek jęczał cichutko i lizał ręce pańskie.

(C. d. n.)



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

W Snaasa. Graesaamoen. Łoś w Trondelagen. Polowanie na łosie z psem.

W tym czasie pełno było w lasach cietrzewi zwanych „Black game“, a że się blisko nas często podrywały, nabiłem śrutem moją strzelbę małego kalibru (28), i upolowałem wkrótce dwie tłuste kury; — wielce miła zdobycz dla naszej śpiżarni.

W miarę, jakeśmy się zagłębiali w las, stawał się on coraz to rzadszy. Na tej wysokości rosły przeważnie już tylko świerki i brzozy, a całe przestrzenie pokryte były miękkiemi norami piżmowców, w które się często zapadałem głęboko, nie będąc wciągniętym do takich pochodów.

Ścieżka, którąśmy dążyli, wiła się wzdłuż rzeki i około południa dotarliśmy do dwóch osad Almoseaters („seater“ oznacza po norwesku „osadę“, nazwy tej używają Norwegczycy do oznaczenia małej fermy, zamieszkałej przez chłopów tylko przez lato, dokąd się udają z bydłem swem dla sporządzania serów i masła). — Obie te Almoseaters położone są w nadzwyczaj malowniczej okolicy, naprzeciw siebie, po obu stronach strumienia. Zbliżywszy się do jednego z ich domu, zaglądnąłem do wnętrza przez okno i zdumiony byłem ładem i czystością, jakie w nim panowały; spotyka się to zresztą na każdym kroku w Snaasa. Ku naszej wielkiej radości spostrzegliśmy tu łódkę, z której skorzystaliśmy dla przeprawienia się przez rzekę; poczem dalej powędrowaliśmy przez śliczny niewielki gąszcz leśny Andortjern i w końcu, na zielonej polanie w pobliżu osady Andortjern zatrzymaliśmy się dla odpoczynku i przekąszenia.

Człowiek nasz, który prowadził objuczonego konia, obrał sobie krótszą drogę; ja zaś i Lorents szliśmy brzegiem skłonów gór Andor w nadziei znalezienia trofeów łosi; niestety, nie natrafiliśmy na nie, a natomiast spotykaliśmy gdzieniegdzie tropy oswojonych reniferów, co nam dało do zrozumienia, że Laplandczycy znajdują się gdzieś niedaleko od nas. Dowiedziałem się, że właśnie do tych północnych gór, graniczących już ze Szwecją, wielu Laplandczyków udaje się ze swemi stadami reniferów, które, za pierwszym powiewem zachodniego wiatru, dążą wszystkie do lasu ku wielkiemu niezadowoleniu myśliwych polujących tam na łosie, gdyż psy idą za tropem reniferów tak samo, jak za tropem łosi.

Dostawszy się nareszcie na wysoki szczyt górski, ujrzeliśmy u stóp naszych ogromne, wspaniale lśniące się jezioro Andor, którego błotniste i płaskie brzegi zarośnięte są zrzadka świerkami. Podobno jezioro to obfituje w olbrzymie pstrągi, — niestety jednak, nie miałem nigdy sposobności łowienia ich tutaj.

Od jeziora Andor ciągną się ku zachodowi długie błotniska, powoli zniżające się wciąż do rzeki Luru i do Graesaamoen, a tylko w oddali widnieją wzniosłe szczyty górskie, co nadaje krajobrazowi temu czarujący i niezwykły charakter.

Szliśmy następnie po skłonach góry Halbu aż do Graesaamoen i tu dopiero pies nasz Flink, zwęszył łosia. — Flink należał do rasy psów powszechnie tu znanej, o wysokich nogach i krótkiej sierci. Psy tej rasy specjalnie są używane do polowania na łosie.

Muszę przyznać, że Fink nasz, na wystawie psów, nie odznaczyłby się szczególną urodą, zwłaszcza, że i nie był już młody; obdarzony był jednak wiatrem nadzwyczajnym, jakiego nigdzie u żadnych psów nie spotkałem.

Fink wiódł nas w dół do niewielkich błotnisk, otoczonych kępami drzew; z największem natężeniem wzroku i słuchu, podążałem za nim, trzymając sztucer w pogotowiu. W końcu, po długiem kręceniu się to tu, to tam, posłyszeliśmy łosia między drzewami i Lorents wnet go wyśledził. Chwyciłem zaraz binokle, ale przekonawszy się, że łoś był młody, z bardzo małemi łopatami, postanowiłem nie strzelać, czem się Lorents wielce zmartwił,

bo dowodził, że łoś ten ma tyleż mięsa pod względem ilości i jakości, co każdy inny łoś! Nawet Flink okazał zdziwienie, że nie strzelam — uważał to, za coś niezwykłego i tak to silnie podziałało na jego nerwy, że do końca tej podróży był zasępiony.

Ponieważ wspominam w tem opowiadaniu o psie używanym do polowania na łosie, pozwolę sobie dodać jeszcze parę słów o dwóch rodzajach takich polowań w Norwegji, oba są zależnie od terenu danej okolicy, a głównie od sposobu wytresowania psa.

Myli się bardzo czytelnik, jeśli sądzi, że polowanie na łosie z psem psuje jego całą zaletę i charakter. Wcale tak nie jest! Oba rodzaje polowań: z „wolnym psem" („loose hound"), jak i z psem „na smyczy" („leash hound"), — ale w szczególności pierwszy, — uwydatniają przemyślność, wytrzymałość i zdolność orjentacyjną myśliwego w lesie w daleko wyższym stopniu, aniżeli w polu.

Przekonany jestem, że przeważna część myśliwych, którzy po upolowaniu jednego lub paru łosi w Kanadzie albo Alasce, nabrawszy o sobie wielkiego wyobrażenia, wzruszą teraz pogardliwie ramionami na wzmiankę tylko, o używaniu psa do pomocy, pewien jednak jestem, że gdyby sami zakosztowali tego rodzaju polowania, — zmieniliby swoje zdanie w tym względzie. Dobitnie ocenia trudy takiego polowania sławny pisarz i myśliwy p. Abel Chapman, w swem ślicznem dziele pod tytułem „Wild Norway" (Dzikie szlaki północy). Między innemi taki ustęp znajdujemy:

> „W starszym wieku — np. po czterdziestce — niektórzy z nas potrzebowaliby nowej już maszynerji do takiej pracy, potrójnego wysiłku i naprężenia mięśni o ciśnieniu dwudziestu-funtowem na cal."

Ponadto, nie mogę sobie wyobrazić, aby prawdziwy przyjaciel psów, pracując z tak nadzwyczaj inteligentnem i pojętnem stworzeniem, jak jest nim właśnie pies norweski do polowań na łosie, nie odczuł i nie przejął się nadzwyczajnym urokiem takiego polowania!

Najpospolitszem tu i najwięcej zastosowanem, jest polowanie z psem na „smyczy"; wiatr psa zastępuje wyszkolone uszy i oczy Indjanina lub przewodnika-specjalisty. Pies jest tu prawie nieodzowny, gdyż przy nikłej zupełnie ilości naszych łosi w porównaniu z mnóstwem łosi „moose" na kontynencie amerykańskim, poleganie u nas jedynie na sprycie i zmyślności ludzi — nie przyniosłoby wielkiej korzyści.

W głębokich i rozległych przestrzeniach leśnych południowej Norwegji, polowanie nawet z psem „na smyczy" nie daje zadowalających rezultatów, podobnie więc jak we wschodniej Kanadzie, używają „wabienia" na łosie „moose", tak tu znów stosują metodę polowania z „wolnym" psem („loose hound").

Obydwa rodzaje psów do polowania na łosie, należą do rasy „psa norweskiego, szarego, do polowania na łosie", jednak od psa „na smyczy" („leash hound"), żąda się tylko dobrego węchu i spokojnego zachowania się w obecności łosia; od psa zaś „wolnego" („loose hound") wybornego wytresowania; przeto, ten ostatni, jeśli jest pierwszej klasy, przedstawia sobą nieocenioną wartość, jest rzadkim i bardzo drogim.

Opiszę teraz w skróceniu polowanie z takim „wolnym" psem:

Wczesny chłodny ranek, cała okolica w której się znajdujesz, pokryta jest szronem; „wolny" pies jeszcze jest na smyczy, trzymanej w ręku twego towarzysza, który dźwiga także na swych plecach małą torbę z żywnością, imbrykiem kawy i innemi naczyńkami kuchennemi. Sam jesteś lekko przybrany, niesiesz tylko sztucer, naboje i binokle.

W miarę jak idziecie pod wiatr, pies się coraz to więcej niepokoi; węszy coraz natarczywiej; w końcu znajduje świeży trop — prawdopodobnie z ostatniej nocy. Jeśli to są tropy rosłego byka, puszcza się psa ze smyczy; ten zaś po paru gwałtownych susach to naprzód, to w bok, znika w lesie. Idziesz więc ostrożnie w tym samym kierunku, nasłuchując uważnie od czasu do czasu, czy nie dojdzie do ciebie odgłos naszczekiwania.

Nic jednak nie przerywa jeszcze tej rannej ciszy. Posuwasz się więc coraz to wyżej, aż na sam szczyt góry, skąd roztacza się przed tobą wokoło góry wspaniały las; — stąd też łatwiej dosłyszeć możesz naszczekiwania psa.

W końcu, z nieokreślonego jakiegoś miejsca u stóp góry, słyszysz wyraźnie „hau", „hau", — to gruby głos „Fink'a"! Wstrząśnięty więc cały błogim dreszczem puszczasz się natychmiast w tę stronę, biegniesz, pędzisz, jeśli ci teren na to pozwala.

Po chwili jednak naszczekiwanie ustaje..., a może znalazłeś się w takiej kotlinie, gdzie już zupełnie głos psa nie dochodzi... Zatrzymujesz się więc i lepiej słuchasz... ot, i znowu naszczekiwanie... ale gdzieś z jednego wciąż miejsca, z jakiegoś leśnego pagórka, — to łoś zapewne przystanął! Nie masz więc chwili do stracenia, i o ile ci sił starczy, pędzisz do tego pagórka.

Miałeś siebie za dobrego zawsze biegacza, lecz teraz ten stromy pagórek pokryty suchemi, połamanemi przez wiatr gałęziami, wstrzymuje całkowicie twój rozpęd. — Zdyszany i rozpalony docierasz nakoniec do wierzchołka, lecz tu dolatuje do twych uszu naszczekiwanie Finka coraz uporczywsze z sąsiedniej doliny, dokąd zapewne łoś zawrócił.

Zbiegasz więc znowu pędem w dół na drugą stronę pagórka, serce ci bije gwałtownie... tchu brakuje! — W tem nogi wplątują ci się w suche gałęzie, chcesz się wyrwać z nich jak najprędzej, szarpiesz... potykasz się i przewracasz się do góry nogami! Naturalnie klniesz tę chwilę! — jednak, jak przykrymby nie był ten wypadek, zrywasz się wnet, podnosisz sztucer i oczyszczasz lufę z pyłu, która zagrzęzła była w gęstym mchu (dla bezpieczeństwa powinno się zawsze mieć pochwę z mocnej skóry). Czujesz w ustach smak krwi... przed oczy zachodzi gęsta mgła! Ale tu wiatr raptem przynosi odgłos naszczekiwania „Fink'a"... zapominasz o zmęczeniu i czynisz nowe bohaterskie wysiłki! Nakoniec, na małej

polance spostrzegasz psa skaczącego zapalczywie wokół wielkiego, szarego zwierza! Czy to byk? Tak! Rozpoznajesz już jego łopaty błyszczące w słońcu!

Byk szarżuje na psa to wprzód to w bok, ale ten zwinnie wymyka się z pod jego olbrzymich przednich racic! Korzystając, że wiatr wieje do ciebie od łosia, a ten zajęty jest psem, podsuwasz się więc do nich jak najbliżej.

Pragniesz wstrzymać, uciszyć gwałtowne bicie twego serca — podnosisz sztucer, — ściskasz go kurczowo w ręku — przez krótką chwilę biała muszka lufy wskazuje prosto wybrane miejsce dla strzału w komorze łosia — naciskasz palec i... rzecz skończona!

Byk wali się ciężko na ziemię!

Wtedy dopiero zdajesz sobie sprawę ze swego zmęczenia — nogi masz jak odrętwiałe! Ale wkrótce towarzysz twój nadchodzi ze swą torbą — roznieca ogień i wnet z małego imbryczka unosi się aromatyczna, rozkoszna woń kawy — i wtedy rozumieć zaczynasz, że ż y ć p r z e c i e w a r t o!

(C. d. n.)

†

Józef Rajmund Schmidt



Obrońca w sprawach karnych i wojskowych, emerytowany prokurator Państwa, b. poseł, b. Prezes Organizacji Narodowej w Tarnopolu, Prezes VI. Okręgu Sokolego, radny miasta Tarnopola — zmarł w Tarnopolu w dniu 17. września 1930, w wieku 64 lat.

W Zmarłym traci społeczeństwo polskie prawego obywatela, czynnego działacza społecznego, opiekuna polskości w Tarnopolszczyźnie w czasie inwazji ukraińskiej, co doprowadziło go do więzienia w okrutnych kazamatach złoczowskich. Ostatnie lata ś. p. Zmarły poświęcił łowom i palestrze, zyskując sobie taktem, świetną wymową i wysokiemi zaletami charakteru rozgłośny mir w społeczeństwie.

Zmarły od chłopięcych lat polował bardzo wiele, chadzał po dawnych moczarach Zbrucza, po halawach stawów Seretu, Strypy i Złotej Lipy, znał świetnie dawne stepy Pantalichy. Dbał o zwierzynę i cenił dobre strzały. W otoczeniu swem cenił specjalnie tych, którzy lubili polować na zwierzynę drobną jak: kszyki, bekasy, kaczki-cyranki, jako zwierzynę szybkolotną. We wszystkich swych rewirach stale trzymał dobrą straż łowiecką, wynagradzał ją stale za usuwanie wnyków oraz za tępienie lokalnego i niedzielnego kłusownictwa.

Jako myśliwy, był ś. p. Józef Rajmund Schmidt, delegatem Polskiego Związku Stow. Łowieckich w Warszawie i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, na powiat tarnopolski. Był założycielem i prezesem Tarnopolskiego Towarz. Łowieckiego od jego powstania aż do swego zgonu. Z Władzami miejscowemi był w stałym kontakcie, wpływając zależnie od potrzeby na wykonywanie łowów w powiecie. Z jego osobistych pobudek zniesiono na lat kilka w powiecie tarnopolskim polowania w pojedynkę, a zezwolono tylko na polowania gremialne, co w skutkach dla stanu zwierzyny nader zbawiennem się okazało.

Aleksander Ruchaj



Kącik językowy

Błędy językowe popełniane najczęściej przez myśliwych:

O d d a ć s t r z a ł: ma być d a ć s t r z a ł. Gdyż oddawać można to tylko, co się od kogoś wzięło (oddać dług, Bogu ducha i t. p.); jest to czysty germanizm (den Schuss abgeben).

K n i e j i: ma być k n i e i (zawiei, nadziei).

Co do przypadku 2-giego liczby mnogiej rzeczowników kończących się na j a, Akademja Umiejętności nie rozstrzygnęła dotąd, jak pisać należy, czy kniej, szyj, czy kniei, szyi i t. p.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16